ROZMAITOŚCI.

Dnia 3 kwietnia, N.^{er} 14. roku 1847.

Wycieczka do Gretna-Green.

(Dokończenie.)

Nareszcie zawinęliśmy w Dieppe. Śród natłoku majtków, drągarzy i wszelakich stręczycieli, podarzyło mi się tylko przelotnie dostrzedz, jak tłum usłużnych komisantów przyjaciołki moje do miasta uprowadzał, i już tego wieczora ich nie widziałem. Gdym zaś wrócił z biura paszportowego, gdzie moje dorywcze przybycie bez pakunku niejaką uwagę na się zwróciło; powiedziano mi, iż obiedwie damy do Rouen już odjechały, a tak rozminęliśmy się z sobą, może na zawsze.

Udałem się do Paryża; o moich przyjaciołkach nigdzie ani śladu nie było; i zapewne się zdziwisz, gdy ci powiém, żem dość cierpliwie ten zawód nadziei znosił. Nie jakbym miał na chwilę w mojém uwielbieniu ochłódnąć; piękna moja przyjaciołka nie ustępywała mi z myśli, lecz te nowe uczucia wywołały też nieznane mi dotąd zarzuty przeciwko sobie samemu. Po raz pierwszy zacząłem szczérze żałować, iż nie miałem żadnego nazwiska, żadnéj sławy pomiędzy ludźmi, iż lekkomyślnie strwoniłem dary otrzymane od natury, i niebacznie dałem ujść mnogim sposobnościom, w których z chlubą użyć ich mogłem. Wtedyto po raz pierwszy obudziła się we mnie ambicyja, gdyż mając głośne imię, nie byłbym już obcym dla niéj. Rozpatrywałem się po wszystkich dawnych ścieżkach, wiodących niegdyś do sławy, ach, już ich nie było, lub zasypano je tak wysoko rumowiskiem, iż potrzeba było całego życia trudów, aby je przebyć z wyczerpaniem sił wszystkich, i stanąć u celu wtedy, kiedy znużony zapaśnik już nawet nie zdolen jest sięgnąć po uzyskany wieniec. Z jakże gorącą rzewnością, z jak rozmarzoną tęsknotą dziecinnego wieku błogosławiłem owym pięknym dawnym czasom, kiedy szlachetna krew, nieposzlakowany honor i miecz żołnierski, stawiały tych, co je posiadali na równi z książętami, kiedy nie zbywało nigdy na sposobności położenia życia za honor, bez którego życie nié ma powabu ni ceny.

Śród takich rojeń, z których prócz ciebie, mało komu śmiałbym się zwierzyć, stanąłem na granicy hiszpańskiéj. Udałem się do obozu Don Karlosa, i byłem świadkiem śmierci rycerskiego Zumalacarregui. Zdradziecki jéj powód rozsiał niezgodę pomiędzy wojska karlistowskie, a co dotąd było walką za wolność; stało się odtąd wojną stronnictwa. Z Barcelony popłynąłem do Neapolu, który jak zawsze tak i wtedy był pełen życia i wesołości, jak chameleon swojém własnym oddechem się żywiącéj. Zacząłem natychmiast dopytywać się, czy moich przyjaciołek tu nié ma, a otrzymawszy zaprzeczającą odpowiedź, nająłem sobie łódkę i przejeżdżałem się nieczynnie z dnia na dzień wzdłuż wybrzeży neapolitańskich.

Nie będę ci opisywał piękności Sorrentu, ani cudów groty Azarskiéj, ani pysznych skał w Scarriatoia, lub rozkosznego Amalfi. Łodziarze moi byli zarówno przyzwyczajeni do pogody, jak do moskitów, téj jedynéj plagi, która nam dokuczała; a noce spędzałem w kapotę owiniony pod gołém niebem, oczekując

spaniałego wschodu słońca, który w tych południowych stronach tak czarowny widok przedstawia. Jakże nagle rozbłyskał świt ponad modrémi wodami! Tu jeszcze mrugały uroczo gwiazdki, i skróś dymu z mojéj piankowéj fajki świécące muszki błyskały, a tu już cały świat zalany był powodzią najpromienistszego światła, podczas gdy naokoło mnie jakby całe nowe stworzenie ogromnych skał, krzewistych dolin i odległych gór, z mroku występowało.

Przy tak samotnym sposobie życia, namiętność moja, którą nieustannie w myślach piastowałem, nadzwyczajnie się wzmogła.

Nareszcie sami usługujący mi łodziarze zaczęli się lękać mojéj cichéj, ponuréj obecności. Mówili mało i półgłosem, przeco dumania mego nic prawie nie przerywało. Jednego razu wysiadłem na ląd, aby zwidzić Paestum, najciekawsze dla mnie miejsce po Rzymie. Tu zniewieściały Sybaryta budował swoje pałace na cyklopejskich posadach wpółbarbarzyńskich naddziadów; tu zmięty listek różany bywał nieszczęściem; tu przepych i lubieżność życie w zmysłowy sen przemieniały; tu pola były ogrodami, a w żniwa zbiérano tylko róże. Dziś jestto smutne szerokie pustkowie, porosłe jałowcem i wysoką trawą, bujającą na grobach tego zbytkowego plemienia, co tam spi w łonie ziemi. Nadaremnie śród téj pasożytnéj roślinności, choć jednéj z owych róż dawnych szukałem. Wszędzie tylko jałowiec i wrzosy. Jakże samotném wydało mi się to miejsce! Jak daleko oko zasięga, nie dostrzeżesz śladu żyjącéj, pracującéj istoty, nie usłyszysz jednego dźwięku, któryby ci zwiastował bytność jakich mieszkańców w téj rozległéj przestrzeni, bo kilka wynędznionych, łachmanami okrytych, jak strachy wyglądających stworzeń, co piszcząc wkoło ciebie jałmużny żebrzą; zdają się raczéj być duchami, z grobów w zbutwiałéj śmiertelnéj odzieży powstałémi. Rozległa głucha pustynia otacza starożytne miasto, poza którém wznoszą się dzikie, poprzerywane wzgórza. Z drugiéj strony błyszczy głębokie, tajemnicze, milczące morze, a wpośród téj pustyni sterczą uroczyste, opustoszałe świątynie, których założyciele dawno już zapomnieni, a święty zamiar, w jakim je niegdyś założono, ledwie jeszcze w mglistém podaniu się dochował. Oto jest Paestum.

Usiadłem na jednéj z obalonych kolumn, które tu śród chwastów wokoło świątyni Cerery leżą, a zapłaciwszy mojemu przewodnikowi za to, aby się na jakiś czas oddalił; miałem się właśnie oddać marzeniom, gdy jakiś krótki, opasły jegomość, widocznie Anglik, wyszedł ze środka świątyni, trzymając w jednéj ręce geologiczny młotek i kapelusz, a drugą sobie pot z swéj dobrodusznéj twarzy ocierał.

»Dobry-dzień, sir« — ozwał się do mnie nieco jąkawym ale serdecznym głosem. — »Z pańskiego morskiego stroju, a jeszcze bardziéj ztąd, iż zapłaciłeś swemu *cicerone*'owi, aby go tylko się pozbyć, wnioskuję, żeś jest Anglikiem. Wyborne to miejsce do samotności, sir.«

Potwierdziwszy jego domysł, wynurzyłem mu wzajemne podziwienie, iż w nim tak co do narodowości jakoteż i zamiłowania w samotności, brata, jak się zdaje, znalazłem,

»O, nie jestem ja samotny, nigdy nie jestem samotny« — odrzekł. »Moje towarzyszki rysują szkice tych świątyń; słudzy moi zajadają oliwę z jajami tam w kuchni, niedaleko.«

Lubo właściwie samotności szukałem, przecież nie żal mi było, żem w tak niespodziéwany sposób przerwanym został; i w piérwszą, a często też jedyną przysługę, jaką uprzejmie wyglądającym nieznajomym oświadczamy, podałem memu dziwacznemu towarzyszowi sygaro. Przyjął je, i usiadł sobie pomiędzy wrzosami jak w gnieździe, rozegnawszy wprzódy jaszczurki, których dotknięcia jednakże jaknajstaranniéj unikał.

»Patrz-no pan!« — ozwał się, wypuszczając z ust kłeby dymu. — »Co za piękny liść! Sądzę, iż on wszystkich budowników tych kolumn, powinien był nadobniejszych nauczyć kształtów, niż oni

swym kapitelom nadawali. Co do mnie, przenoszę ja te przed-dorycкie, i od wszelkich architektonicznych porządków starsze formy nad owe sztywne, wymuszone ozdoby sztuczniejszych czasów.«

Uśmiechnąłem się na tę uwagę; on mówił daléj:

»Zdaje mi się, iż pana już gdzieś widziałem; tak, niezawodnie. Czemużeś pan wąsy zapuścił? Aha, przypominam sobie; byłoto w Dieppe. Lecz wyglądałeś pan wówczas bardziéj na *gentleman*'a.«

Roześmiawszy się na to, opowiedziałem mu przygody moje od owego czasu. Wkrótceśmy się serdecznie zaprzyjaźnili, a on przydłużał daléj rozmowę w swoim osobliwszym stylu:

»Dziwne to miejsce!« — zawołał, oglądając się wkoło po przepysznych, otaczających nas świątyniach. »Wszystko z wody zbudowane! Każdy mur, osobliwie świątynia Neptuna, wszystko-to z wody. Podobnież i miasto, i domy, i wieże, sam *travertin*. Tak, doprawdy, te wszystkie świątynie, i mury, i pałace, i bruki uliczne, wszystkoto skapało kroplami ze ścian owéj góry: jednego dnia spadła z niéj ulica, na drugi tydzień kilka świątyń, szczególniejsza rzecz, zaiste. Czytaj pan Humfreja Davy«

Gwarzył on tak dość długo, a wreszcie zawołał:

«Ależ dla Boga, już druga godzina! Śniadanie dawno gotowe. Kazaliśmy sobie nakryć w starożytnéj świątyni Cerery, a w przedsionku, jeźli się nie mylę, spiżarnia. Pójdź pan ze mną, moje damy będą uszczęśliwione, że znajdą kogoś, co zechce podziwiać ich rysunki.«

Z ochotą z nim poszedłem, gdyż spodziéwałem się zastać podobne jemu kobiéty, i równie jak on rozweselające. Obaczyłem zdaleka dwie damy, które miały głowy odwrócone, i były jeszcze zajęte rysowaniem. Gdyśmy się zbliżyli, obejrzały się, i postrzegłem Helenę Melville. Lubo tylko raz ją widziałem, przecież możesz sobie wystawić, iż znajomość moja na tém się nie skończyła. Od owéj chwili nigdy mię nie opuściła jéj obecność. Czułem to, jakbyśmy oboje w najściślejszéj odtąd żyli z sobą przyjaźni, a tak, i to dzisiejsze spotkanie, nie było mi prawie dziwném i niespodzianém, gdyż urzeczywiściło tylko widzenie, które miałem bez przerwy przed oczyma. Ztąd-też byłem w stanie przemówić do niéj bez widocznego wzruszenia, i wspomnieć jéj, iż miałem przyjemność zejścia się z nią przed kilką miesącami.

Miss Melville zarumieniła się, odpowiadając mi, a potém, jak jéj ciche myśli w głowie, tak też i kolor twarzy, nieustannie się zmieniał. Starsza dama przyjęła mię dość hardo, i zabrała swego szwagra, gdyż tym był mój nowy znajomy, na ustęp o kilka kroków. Po bardzo krótkiéj rozmowie wrócili oboje, lecz natychmiast dostrzegłem, iż w tak uprzejmém potąd obejściu się starego jegomości ze mną, wyraźna zaszła zmiana. Ztémwszystkiém, siłował on mię do jedzenia, a niebawem zawiązała się powszechna rozmowa. Przekonałem się często, iż nasze zdolności rozmownicze, jakiekolwiek one są zresztą, najmocniéj się rozwijają, gdy jaka nagła okoliczność do czynności je powoła — a to témbardziéj, jeźli spółtowarzysze nasi są podobni do osób, z jakiémi się teraz właśnie zeszedłem; to-też jeźli kiedy jakiekolwiek zdolności w téj mierze miałem; niezawodnie w owéj rozmowie najdzielniéj ich użyłem.

Mój stary przyjaciel zapomniał w rychle, co pani Marsh do ucha mu poszepnęła, zapytał mię uprzejmie o nazwisko, i nalegał na mnie, abym z nim razem wrócił do Neapolu, gdzie mi nawet mieszkanie w swoim *palazzo* ofiarował. Byłbym to chętnie przyjął, lecz surowe spojrzenie pani Marsh przecięło mu dalszą mowę, a ja widząc jego zakłopotanie, przyspieszyłem mu w pomoc odpowiedzią: iż mam już mieszkanie na placu Chiaja, i spodziéwam się zastać moich służących z końmi w Salerno, dokąd wkrótce odpłynąć zamyślam.

»No proszę« — zawołała pani Marsh — »a na pokładzie parowego statku mówiono mi, iż pan nié masz ani służących, ani pakunku.«

*

Nie potrzebuję ci powiadać, iż ta jejmość była córą smaragdowéj wyspy; panna Melville skrzywiła się niechętnie na ten naiwny sposób sądzenia o ludziach, i dla nadania innego zwrotu rozmowie, rzekła:

„Zdaje się, jakby tu nawet same groby zniszczenie pochłonęło; a przecież starożytni, nito instynktowém dążeniem do nieśmiertelności wiedzeni; wszelkich dokładali starań, aby tę jedynę po sobie pamiątkę na długie wieki utrwalić. Ktoż nam wyliczy, ile rozmaitych narodów grzebało tu swoich zmarłych według różnych obrzędów i nadziej nieśmiertelności."

Pani Marsh przerwała Helenie dalszą mowę przypomnieniem, iż wieczór już się zbliża, a tak rozstaliśmy się w wzajemnéj, jak sądzę, nadziei, iż się niezadługo znowu obaczym.

Jednakoż minęły lata, nimeśmy się obaczyli. Tymczasem odbyłem bardzo daleką podróż, a gdyśmy się znowu zeszli, już nas żyzne niwy Anglii otaczały. Zamiast opustoszałych świątyń, wznosiły się wokoło nas faktoryje z wszelką swoją skrzętną ludnością. Wpośrodku rozległego parku, otoczonego murem ciosowym, a zieleniącego się bujną trawą i małémi rozsianémi drzewami; stał nowy, bardzo obszerny i z największym przepychem urządzony dwór pański. Tu mieszkał mój szanowny przyjaciel z Paestum, i byłem tu gościem u niego. Należał on do najzamożniejszych obywateli całego hrabstwa i był powszechnie poważanym. Wszyscy szanowali jego zdanie, chociaż każdy śmiał się z dziwacznego sposobu, w jaki on swe zdania wyrażał. I tu, w tym przybytku dostatków i przepychu, dorastała wieku dojrzałéj dziewiczości istota, któréj smak był tak skromnym i pojedyńczym, jak gdyby zawsze tam była żyła, dokąd jéj szlachetne serce ją wiodło. Jakże piękną a oraz jak pokorną, jak nieśmiałą, a oraz jak dostojną była Helena Melville! Lata od naszego ostatniego widzenia się minęły. Rozumie się, iż wkrótce miała być poślubioną. Przeznaczony jéj oblubieniec byłto marnotrawny syn zubożałego para. Umiał on osobliwszym sposobem wmówić w ojca Heleny, iż jest zacnym, rycerskim młodzianem, a łatwowiernéj dziewczynie przedstawić się za najbezinteresowniejszego człowieka, co kiedy czuł własną niegodność zbliżenia się do tak lubej istoty, jaką była ona.

Nigdy jednakże ani ojca ani córki nie wywodziłem z błędu, chociaż znałem dobrze tego człowieka, i wiedziałem, że tylko majątek Heleny, który w istocie najmniejszym jéj był powabem, trzymał go na uwięzi. Spotkałem się w Londynie z starym Melville'm, i przyjąłem jego zaprosiny towarzyszenia mu na dni kilka do Lancashire. Przybywszy na wieś, zdało mi się, jakbym niejakie spółczucie w Helenie wzbudził. Wszakże dopiéro wtedy, gdy dnie w tygodnie się zamieniły, mogłem spodziéwać się wywzajemnienia mojéj tak dawno żywionéj namiętności. Nareszcie przyszła chwila drżącego zapytania, i tajemnego wyznania. Przyrzekła być moją, a ja zaprzysiągłem jéj w obliczu nieba, iż będzie moją na wieki. Wprawdzie otaczały ją bogactwa, wprawdzie jéj ojciec komu innemu ją przyrzekł, i mniemał, iż ona to przyrzeczenie dochowuje, wprawdzie zawiodłem jego zaufanie, i nadużyłem praw gościnności; lecz mogąc takie serce pozyskać, cóż mi świat cały na szali ważył? A przecież muszę ci przyjacielu wyznać, że nawet w téj chwili uniesienia, kiedy nadzieja długich, długich lat się ziściła, kiedy przyciskałem do serca istotę, będącą dla mnie wszystkiém, co tylko świat człowiekowi dać może; nawet wtedy, gdy ognista krew moja prądem po żyłach gnała, a oczy moje rozkoszą się iskrzyły — w téj nawet chwili czułem w sobie bolesne żądło wyrzutu, i — o, jakże chętnie byłbym umarł w téj pożądanéj chwili!.. A gdy jednego razu w przybocznéj galeryi usłyszałem kroki czcigodnego starca, gdy uprzejmy głos jego zawołał mię po imieniu, a ja ze skargą przeciwko sobie samemu, z lubych objęć się wyrwałem; sumienie moje przekonywało mię, iż zbyt drogo rozkosze moje okupiłem. Na chwilę przecież przemogło szlachetniejsze uczucie. Wybiegłem z pokoju, wziąłem starca za rękę, i wyprowadziłem go do ogrodu, a przechodząc się tam i sam drżącémi kroki, wynurzyłem mu wszelkie moje nadzieje, moję obawę, moje cierpienia...

Jakże boleśnie zmieniło się pogodne oblicze starca! Zapewneto nie spełznienie długoletnich jego widoków, lecz uczucie zawiedzionego przezemnie zaufania, zmarszczyło brwi starca i bladością usta jego powlokło. Milczał w ciągu całego mego zwierzania się. Nareszcie nadmieniłem o moich okolicznościach, i wtedy dopiéro wezwał mię niecierpliwie, abym zaprzestał. Błagałem go tylko o córkę, zrzekając się posagu, i wszelkich praw do dziedzictwa. Nagle stanął i ozwał się do mnie z goryczą, jakiejbym go nigdy był zdolnym nie sądził:

„Do kogożto mówisz! Przez całe życie trudziłem się i starałem tylko o to, abym Boże odpuść, nagromadził bogactwa dla mego dziecięcia, a pan tu przychodzisz i mówisz mi, abym ci dał moję córkę bez posagu? Wysłuchałem cię do końca — i może źle w tém zrobiłem — może to wszystko z mojéj winy — kochałem cię szczérze, nie zważałem na niebezpieczeństwo, jakie mojemu domowi i mojéj sławie groziło — powinienem był w siedmdziesiątym roku życia znać lepiej naturę ludzką — zawiodłeś mię pan — powinienem się był tego spodziéwać. Teraz zapomnij o tém, co rzekłeś; żałuj ciężkiéj krzywdy, jaką mojemu staremu, ufającemu sercu wyrządziłeś — a natenczas, nie będę cię przeklinał."

Przyjacielu! Użyłem od tego czasu wszystkich rozkoszy, jakich tylko miłość i bogactwa użyczyć mogą; ale w tym całym zawodzie pozornego szczęścia; nie było ani jednéj chwili, w któréjbym sobie był nie życzył, abym wówczas usłuchał był rady zacnego starca. Ale duma stłumiła moje szlachetniejsze uczucia, i odpowiedziałem porywczo:

„Przeklinaj mię pan, że kocham twoję córkę, że dopóki życia, błogosławić będę twe imię, przeklinaj mię pan, że ja, książęcego rodu potomek, pragnę zaślubić twoję córkę, że ja, posiadacz zamku, który od ośmiuset lat najzacniejsze i najcnotliwsze córki dumnéj krwi angielskiéj jako rade temu zaszczytowi oblubienice w swoich murach przyjmował, mój herb i moję posiadłość, córce twéj do nóg kładę! Nie dbam o twoje przekleństwo, i mówię panu w oczy, iż córka twoja będzie moją.”

Nie czekając odpowiedzi wyszedłem czémprędzéj z domu, który mię przyjął gościnnie, abym go w smutek pogrążył.

Ach, nie słabemuto, zgrzybiałemu wiekowi, występywać do walki z młodzieńczą dzielnością i odwagą miłości. Poczciwy staruszek sypiał mało, a podczas gdy mu się śniło, iż go córka opuszcza, sen jego przeszedł w rzeczywistość.

Od Preston aż do Gretna-Green stało na każdéj stacyi dzień i noc po cztéry konie w pogotowiu. Cztéry rącze rumaki stały zaprzężone o trzy mile od parku. Wszystko było przysposobione. O dziesięć mil od dworu czekała nas stacyja żelaznéj kolei — o trzeciéj godzinie po południu wybiegał ztamtąd świéży pociąg. Helena wyjeżdżała zwykle codziennie o drugiéj godzinie z ciotką na przejażdżkę w pobliżu dworu. W niedzielę rano doręczył jéj przekupiony hojnym darem strażnik parkowy list ode mnie, gdy właśnie swój gołębnik z nim oglądała. Przyniósł on mi też wymowną, stanowczą, ale zbyt łaskawie zaprzeczającą odpowiedź. Następnéj nocy byłem z pistoletami za pasem, a z pistoletami, które już przy innych sposobnościach powinności swéj dopełniać się nauczyły, za pomocą ujętego strażnika, pod jéj oknyma. Działo się to w lecie; księżyc świécił, psy na łańcuchu na głos znajomy umilkły w dziedzińcu. Stary ojciec był coś niezdrów, i zażył na sen lekarstwo; ale gdyby nawet stał był na straży u okna, byłbym owéj nocy nie zważał na niego. Dla oddania sprawiedliwości mojéj biednéj Helenie, muszę wymienić, iż gdy wylazłszy po drabinie, uchyliłem wpółodemknięte okno, piérwszém jéj wrażeniem, mimo najgorętszéj miłości, była zniewaga. Jakże piękną wyglądała natenczas, gdy przebudziwszy się ze snu, zalana rumieńcem i długiémi, rozpuszczonémi włosami, wpół podniesiona, starała się drżąco przygarnąć znowu osłonę, która w piérwszéj chwili zmieszania, zsunęła się jéj była z ramion! Ten widok nie był zaiste zdolny zachwiać mię w mojém postanowieniu. Nie powtarzam ci wszystkich moich gwałtownych, a przecież tak słabych wyrazów, równie jak i jéj przedstawień, jéj próśb, jéj silnego oporu. Szybki uścisk związał nasze losy nierozerwanie, a za chwilę już mię u niéj nie było.

Nazajutrz wyjechała Helena jak zwykle na przejażdżkę. Byłato godzina dręczącéj niepewności. Mój powóz z czterma ognistémi rumakami stał u skrętu gościńca, przy nim ja i dwóch służących, wszyscy jak najlepiéj uzbrojeni. Aleź stacyja żelaznéj kolei była o dziesięć mil angielskich oddaloną; upłynął już kwadrans po drugiéj; gdyby nas dopędzono, jeden z dwóch, starzec lub ja, musiał zginąć... Owoż nadjechały.... Śród białego dnia, na publicznym gościńcu, zaskoczyliśmy im drogę, w oka mgnieniu był woźnica z kozła zepchniętym, lokajowi przyłożony do czoła pistolet, zadał milczenie porwaliśmy Helenę zpod boku krzyczącéj o pomoc ciotki; a w następnéj chwili siedziała już Helena w moim powozie, nasze konie wiérzchowe puściliśmy wolno po polach, słudzy stanęli z tyłu, a cztéry dzielne rumaki poniosły nas w szalonym pędzie gościńcem. Tam na dolinie dymiły się machiny pociągu żelaznéj kolei; gnaliśmy wichrem w tę stronę, i omal żeśmy— przybywszy u dworca kolejowego — z powozem i końmi w kawałki się nie roztrzaskali.... Pociąg stanął; wahający się nieco pisarz, wydał nam żądane bilety, i znowuśmy precz ulecieli, szybcéj niż sokoł w powietrzu lata. Teraz dopiéro chciałem moję omdlałą, tak drogo osiągnioną kochankę do życia przywieść: przy piérwszém natarciu naszém na jéj powóz, straciła była przytomność, a ja nie chciałem jéj ocucać wprzódy, aż przynajmniéj poniekąd w większém ujrzymy się bezpieczeństwie. Nareszcie przyszła do siebie: wyraz śmiertelnéj trwogi, jaki się na jéj lubych licach malował, był mi dostateczną karą za wszystko, com uczynił.

W Preston zastaliśmy powóz już w pogotowiu. Słudzy powiadali, iż wyjechawszy ze stacyi kolei żelaznéj, widzieli w oddali jeźdźca, zmierzającego ku dworcowi kolejowemu. Teraz dopiéro przyszło mi na myśl, iż mogły być jeszcze inne lokomotywy na stacyi, na co dotąd zupełnie uwagi nie zwróciłem.

Gwałtowne wzruszenie z doznanéj trwogi i jakieś ciemne przeczucie grożącego jeszcze nieszczęścia, nie dozwoliło mi uspokoić natychmiast méj narzeczonéj. „Wkrótce wszystko dobrze będzie” — mówiłem — „Ucieczka twoja zniwecza przyrzeczenie ojcowskie, i szczęśliwa przyszłość nas czeka.” — Próżne słowa! I sam to wiedziałem dobrze, iż one próżne były.

Tymczasem gnaliśmy naprzód co tylko konie pod ciągłą chłostą bicza i ostrogi, wyskoczyć mogły. W każdém mieście zbiegały się wkoło nas kupy lu-

dzi, ale w kilku chwilach jużeśmy im z oczu zniknęli. Gmin zawsze podziela uczucia uciekających; a gdyby nawet kto miał był powód do wstrzymania naszéj ucieczki; nie byłby się tak łatwo odważył uderzyć na trzech odważnych i dobrze uzbrojonych ludzi. Pędziliśmy więc daléj bez przeszkody, i minęli Penrith i Carlisle. Aż oto na samém wyjezdném z tegoż miasta, łamie nam się oś gwałtownem tarciem rozpalona, a chociaż upadłszy na ziemię, żadnego niedoznaliśmy uszkodzenia; przecież trzeba było przeczekać pół godziny, nim się drugi powóz nadarzył, poczém pognaliśmy daléj. Gdy nam przyszło spuszczać się z wysokiéj góry, krzyknęli moi ludzie na postylijonów: „Pędźcie, co możecie!”

Postylijonowie którzy już byli pogięli zakrwawione ostrogi, zaczęli z całéj mocy chłostać spienione konie, a ja wiedziałem dobrze, co ten krzyk ludzi znaczył... Na nieszczęście jeden z naszych koni nie mógł dotrzymać trzem silniejszym, a tak powiodło się naszym prześladowcom coraz bardziéj i bardziéj do nas się zbliżyć. Jakże ważną stawała się teraz każda piędź drogi, jak stanowczém każde uderzenie pulsu! Wkrótce usłyszałem za sobą tętent czwałujących kopyt. Okropna zbliżała się chwila. Na szczęście, biedna ofiara moja zemdlała powtórnie; nadszedł kres ciężkiéj próby. Gdym pistoletu z zanadrza dobywał, uczułem, że mi się lica śmiertelnym lodem ścięły. Chciałem umocnić rękę — lecz odmówiła mi posłuszeństwa. Powóz przewalał się nieustannie to w jednę to w drugą stronę, podczas gdy zmęczone konie wściekle chłostane, naprzód go rwały.

Nareszcie nabrałem odwagi podnieść się w powozie i spojrzeć poza siebie. Tam za mną w otwartym koczu siedział szanowny staruszek. Twarz jego miała wyraz spokojnego lecz niezmiennego postanowienia. Miał głowę odkrytą, a wiatr rozwiewał siwe włosy jego. Nieszczęście uzacniło go w moich oczach, a mnie hardego potomka normańskich zdobywców, odstąpiła odwaga w obec obrażonego plebejusza — lecz już było za późno. Odwróciłem się na chwilę, i wymruknąwszy kilka słów bez związku, które zapewne nie były modlitwą, chwyciłem pistolet

Jeszcze raz starano się nagnać konie nasze do szybszego pędu, ale nadaremnie! Już rumaki pogoni, tuż tuż za mną parskały... wraz ujrzałem przy oknie powozu mego dymiące się nozdrza przedniego konia.... Moja dawna odwaga wróciła; podniosłem pistolet spokojnie, wymierzyłem pewném okiem, i wystrzeliłem. Jęk boleści i odgłos padającego ciała, ozwały się zarazem, a dziki wykrzyk radości moich ludzi, oznajmiły mi — iż dzieło było spełnione.

To mnie nie wstrzymało; pędziliśmy co było można; ubiegliśmy znowu milę, i przeprawili się przez rzékę. Pędząc jeszcze chwil kilka, i zdążywszy na wierzchołek niewielkiego wzgórza; stanęliśmy nareszcie przed bramą gospody. Tu jeden z moich koni padł nieżywy na ziemię, i nie wstał już więcéj. Nie było chwili do stracenia; miałem tu świéże konie, w oka mgnieniu zaniosłem biedną Helenę do wielkiéj, smutnéj izby gościnnéj, która już wiele podobnych scen widziała. Spieszno odbył się obrzęd zaślubin, a po kilku minutach, byliśmy już w drodze do Portpatrick.

Powiém ci tylko krótko, żeśmy nic więcéj o pogoni nie słyszeli — o, dałby był Bog, abyśmy byli słyszeli! Jeszcze téj saméj nocy odpłynęliśmy rybackim statkiem. Okręt parowy już był wyruszył z kotwicy, lecz wiatr nam sprzyjał, i bezpiecznie dostaliśmy się na wyspę Glenarm. Kilka dni w téj pięknéj ustroni spędzonych, przywróciło biédnéj Helenie nadwerężone siły, lecz jéj błogi uszczęśliwiający wzrok, zniknął na zawsze.

Jednego razu, przechadzając się oboje wieczorem wzdłuż wybrzeża, usłyszeliśmy oddalony tętent kopyt po krzemienistéj drodze. Wyprawiłem był jednego z moich ludzi z listem do ojca Heleny — teraz już do ojca naszego. Myślałem, iż przybywający, jestto mój sługa, a że moja żona nic o tém poselstwie nie wiedziała; przeto opuściłem ją z prośbą, aby chwilkę na mnie zaczekała, aż wrócę. Szedłem zwolna, aż póki jéj z oczu nie zniknąłem, a potém pobiegłem żywo naprzeciw posłańcowi.

Stary Melville już nie żył! Wieczorny wiatr który igrał z splotami włosów córki, posypywał już liściem samotny grób jego. Ona była wszystkiém dla starego serca jego, które utraciwszy jéj serce, już sobie niczém téj straty wynagrodzić nie mogło.

O, mój przyjacielu! choćbyśmy nasze serca w najnamiętniejszy zachwyt miłości wysilili, nigdy on przecież straconéj miłości ojca, najgorętszém nawet poświęceniem się kochanka, nie wynagrodzi!

Nieszczęśliwy starzec, po owém spotkaniu się ze mną, żył tylko kilka godzin jeszcze. Podczas gdy cudze, najemne ręce, jego siwą, we krwi zbroczoną głowę owiązywały, drząca jego ręka skreśliła następujące słowa:

»Sommervile, niech te ostatnie słowa moje, będą dla was słowami przebaczenia — przebaczenia, którego ja sam za krótką chwilę potrzebywać będę. Powiédz mojemu dziecięciu, iż moje ostatnie tchnienie błogosławiło jéj — błogosławiło wam obojgu. Abym względem siebie samego był sprawiedliwym, wyznaję ci— czego jednakże przed nią nie wyjawiaj, ma ona bowiem szlachetne, czułe serce — iż po naszéj ostatniéj rozmowie mniemałem, że memu srogiemu rozkazowi niewidzenia więcéj Heleny, będziesz posłusznym; byłto rozkaz srogi, lecz zestarzałem się w słodkiéj nadziei, którą zarazem

zniweczoną ujrzałem, w nadziei, iż jestem nieograniczenie kochanym od mojéj biednéj córki, że posiadam jéj zupełne zaufanie. Nie miałem żadnéj innéj nadziei. Za późno uczułem, iż zanadto porywczo, zanadto bez względu na szczęście mojéj córki odpowiedziałem ci; dla tego napisałem przebaczający list do ciebie, który ci tu załączam. Bylibyśmy dzisiaj wszyscy szczęśliwi, ale wiadomość o twojéj ucieczce doszła mię wcześniéj, niż ten list wyprawiłem. Natenczas spłonąłem cały gniewem, i powiedziałem sobie: nie będziesz miał mego dziecięcia, przekleństwo i hańba niech spadną na twoję głowę.... O, czemuż nie jesteś tutaj, abym....«

Tu drżąca ręka odmówiła posługi umierającemu. I ja też daléj opowiadać nie mogę. Żądałeś rady ode mnie — oto masz moję odpowiedź.

Tu rzekłszy, wstał i wyszedł z pokoju.

* * *

Młody Irlandczyk przeszedł się kilka razy szybkim krokiem po izbie, spojrzał wilgotném okiem za przyjacielem, i usiadł znowu w poręczowém kreśle.

»Biédny Sommerville« — rzekł po chwili. — »Teraz się nie dziwię, że często tak ponuro wyglądasz. Radbym też wiedzieć, co z jego żoną się stało; gdyż w tém właśnie jest sens moralny powieści, jeżli ona tylko w istocie ma sens jaki. Anna Morton mogłaby mieć los podobny.... Bądź jak bądź, to pewna, iż mi Sommerville radzi, nie iść w jego ślady, i nie porywać mojéj kochanki — a chyba mnie samego wprzódby czart porwał, gdybym za jego nie poszedł radą. Sądzę, że to jest dość wyraźne postanowienie... Chłopcze! daj mi jeszcze jednę butelkę wina!«

ODDŹWIĘK SMUTKU.

Takiżto wyrok mego przeznaczenia,
Ni-zkąd radości, zewsząd myśl do żalu,
I zewsząd straty szarpiące boleśnie
Dotkliwą ranę — w sercu nie z kamienia,
Choć twardą nazwą odbrzmiennem z imienia? —
Czemuż nie późniéj, lecz przedemną wcześnie,
Jak skryty zbójca mordujący we śnie,
Wziąłeś mi wszystko — ty życia rywalu!
Cożem zawinił, żeś tak spieszno gonił:
Byś dom mój napadł, wziął mi jego duszę,
Ponurym smutkiem ściany me obsłonił,
W żałosny dzwonek tak srogo zadzwonił
Że choć go myślą ile mocy głuszę,
On mi wciąż dzwoni— wciąż go słyszeć muszę!...
Czas wziął nadzieję, gaśnie gwiazda blada,
Coraz samotniéj w nowym świecie stoję;
Listek po listku z kwiatów mych odpadł,
Nadeszła zima — gdzież jest lato moje...?!
»Już ci nie wróci« — grób mi odpowiada. —
Milcz-że boleści, nie zamącaj ciszy,
Że we mnie jesteś, niechaj nikt nie słyszy!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 13ty i zawiera: 1) Krótka nauka dla pp. ekonomów. (Dokończenie). 2) Produkcyja nawozu w Belgii. 3) Pogląd na gospodarstwo lasowe w prowincyi naszéj. 4) Wyścigi mające bardzo zbawienny cel. 5) Turnips. 6) Trawa i siano. 7) Ile wynosi ścierń i korzonki roślin? 8) Nawóz Liebiga. 9) Wiadomości handlowe i przemysłowe. Projekt do olbrzymiej kolei żelaznéj. 10) Miasta hanzyatyckie 11) Środek do gaszenia pożarów. 12) Uwiadomienie.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 7my i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). Rozdział drugi. Zbytek i nędza. 2) Mehmed Ali. Wiersz przez Szymańskiego. 3) Odpowiedź na artykuł nadesłany znad Seretu. Przez Maryję z Ch. P.

Przegląd najnowszych dzieł polskich. W Warszawie wyszły całkowicie lub częściowo: *Litwa*, jéj starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania i t. d. przez J. J. Kraszewskiego, tom 1y; tom 2gi wkrótce prasę opuści.— *O monetach z czasów Piastowskich*, i o sztuce menniczéj z tegoż okresu, dzieło opatrzone kilkąset drzeworytami i tablicami na miedzi rytémi, przez Kazimierza Stronczyńskiego; na ukończeniu. — *O piękności w sztuce* ze szczególnym do praktyki zwrotem, przez J. Ankiewicza.— Z licznych tłumaczeń wymieniamy tylko: *Obrazy przyrodzenia*, Humboldta, przekł. Ant. Kośmińskiego. — W Wilnie: *Kollokacya*, powieść Józefa Korzeniowskiego. *Młoda wdowa*, komedyja we 3 aktach, przez tegoż; w druku. — O nowym J. Korzeniowskiego utworze: *Majster i czeladnik*, komedyi we 2 aktach, przedstawianéj na scenie warszawskiéj, donoszą pisma tamtejsze,— *Powieści z podań gminnych*, przez ks. Ignacego Hołowińskiego; pod prasą. — *Pomysły o wychowaniu człowieka*, przez Floryjana Bochwica; przygotowano do druku. — *Pamiętniki o dawnéj Polsce*, z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Franciszka Commendoni do Karola Boromeusza, zebrane niegdyś przez Jana Albertrandego, przełożone przez Józefa Krzeczkowskiego, wydane przez Mikołaja Malinowskiego, w 2 tomach, z których dopiero 1y wyszedł. — *Poselstwo Lwa Sapiehy* w r. 1600 do Moskwy, podług dyjaryjusza Eliasza Pielgrzymowskiego, opisane przez Władysława Trębickiego. — Kazimierz Bujnicki ogłosił prospekt na czwartą seryję, czyli na tomy 7y i 8y pisma zbiorowego *Rubon*. — W Petersburgu zapowiedziano wydanie przekładu poezyj łacińskich Klemensa Janickiego, jako początek obszerniejszéj pracy pod nazwą: *Przekłady poetów polsko-łacińskich*. Dochód z tego dzieła przeznaczonym jest na założenie kościoła rzymsko-katolickiego w Mirze, w gubernii Mińskiéj; przedpłatę przyjmuje ks. Łappa w Mirze; wydawcą Wład. Syrokomla. — Henryk hr. Rzewuski, autor Pamiątek Soplicy i Listopada, przygotował do druku romans historyczny polski z połowy 16go wieku pod napisem: *Samuel*.

Dwa osobliwsze rzemiosła amerykańskie. Mieszkańce nieprzejrzanych równin południowéj Ameryki odznaczają się nadzwyczajną bystrością zmysłów, i tak np. każdy *gaucho* (pastuch) umie rozeznać ślad zwierzęcia zpomiędzy tysięcy, chociażby go od roku był nie widział; również poznaje on, czy np. wytropiony koń samopas biegał, czy był luźnym lub obładowanym. Atoli są jeszcze przemyślniejsi, i z tego jedynie zarobku żyjący poszukiwacze tropów, czyli tak zwani rastreadorowie, u których wzrok w istotnie niepojęty dla nas sposób wydoskonalonym bywa. Zato też jest taki rastreador bardzo ważnym i groźnym w swojéj okolicy człowiekiem, gdyż jedno słowo z ust jego może ocalić lub zgubić zbiegłe-

go i ukrywającego się winowajcę. Zeznania rastreadorow mają moc dowodów przed niższémi sądami. Skoro gdzie w nocy kradzież popełnioną została, szukają natychmiast najbliższego i choćby najnieznaczniejszego tropu złodzieja, i biorą w pomoc rastreadora. Ten ogląda trop, idzie za nim drogą, ścieżkami, w poprzek potoków i ogrodów, nawet przez mury, aż dojdzie poszukiwanej osoby, i wyrzecze: »Oto winowajca« — co jest dostatecznym dowodem, którego sam złodziej nigdy prawie zaprzeczyć nie śmie. Jakoż nie pamiętają przykładu, aby podobne wskazanie mylném było. Osobliwie gdy znamienite przeszkody zachodzą, lub sława rastreadora w wątpliwość jest podaną; dokazują ci ludzie cudów zręczności, jakto przed kilką laty w Buenos-Ayres się wydarzyło. Najbieglejszy tameczny rastreador, nazwiskiem Kalibar, tropił skazanego na śmierć złoczyńcę, który był umknął, i używając wszelkich fortelów dla ocalenia sobie życia, jużto znaczną część drogi biegł na palcach, jużto płynął rzékami, szedł wstecz i t. p., lecz nadaremnie. Przy każdéj nowéj trudności zawołał Kalibar tylko: »Nie ujdziesz mi!» — i rzeczywiście znalazł zbiega. Taka gonitwa bywa istotnem polowaniem, przy którém jednakże nie węch lecz wzrok za przewodnika służy. Ztąd też wszyscy tak dalece Kalibara się bali, iż w r. 1844 kilkunastu więźniów politycznych, chcących uciec z więzienia, nie śmiało tego pierwéj uczynić, aż póki nie skłoniono Kalibara, aby na kilka dni chorym się udał. Ten na całą Argentyńską rzeczpospolitę sławny człowiek trudnił się przez lat 40 swojém rzemiosłem, i żyje dotąd w Buenos-Ayres. Również osobliwszymi ludźmi są tak zwani b a g n e a n o s y. Ci znają najdokładniej cały kraj i wszystkie najniedostępniejsze kryjówki w lasach, górach, nizinach. Każda rozstajna droga, każdy tajny bród w rzéce, każdy suchy przesmyk wzdłuż bagien są znane bagneanowi. Nawet w nocy, śród najdzikszéj pustyni, wié on, którędy się obrócić. Dość mu spojrzéć na drzewo lub pierwszą lepszą krzewinę, aby wymienić kierunek drogi; w najgorszym razie powącha lub użuje korzonek pewnych roślin, i umié już zmiarkować, czy jest w pobliżu morza lub rzéki. Z tej przyczyny są bagneanosy niezbędnie potrzebnymi dla armii w wojnie, gdyż oni jedni mogą dać należytą sprawę o wojsku nieprzyjacielskiém, którego ruchy, choćby nawet w odległości mil 10, według kierunku uciekających żwiérząt dzikich bywają im wiadome. W pobliżu nieprzyjaciela umią oni z pyłu, sprawionego jego pochodem, obliczyć dokładnie siły przeciwników. Co więcéj: Każdy prawie bagneano, widząo kruka albo kondora w powietrzu, powié natychmiast, czy ptak na ściérwo czatuje, czy na opuszczony obóz chce się rzucić, lub też kryjące się gdziekolwiek grono ludzi uważa. Jestto ich zadaniem życia, i nie dziw że do takiego mistrzowstwa w tém doprawadzają. Znany jenerał Rivera jest sam znakomitym bagneano, zna niezawodnie każde drzewo w całej rzeczypospolitéj Uraguajskiej, i głównie téj umiejętności winien jest swoje wyniesienie.

W i ę z i e n i e p e n s y l w a ń s k i e w K a l i s z u. »Gazeta wrocławska« donosi »znad granicy polskiéj«: Nareszcie osadzono już więźniów w nowém wielkiém więzieniu, urządzonem według pensylwańskiego systemu odosobnienia. Jak korzystnym ten system się okaże, nie da się jeszcze powiedzieć; tyle jednak z pewnością wiadomo, iż pomiędzy nieszczęśliwymi ofiarami, ściśle według systemu pensylwańskiego więzionémi, wielka panuje śmiertelność. Co tydzień umiera po kilka osób. I nie dziw, gdyż przeciw temu systemowi oburza się natura ludzka, i musi wreszcie uledz męczarni. Jużto człowiek dla człowieka jest stworzonym, a to prawo natury nie powinno nigdy być rozrywane. Nawet w więzieniu należy je szanować. Wystawmy sobie cztéry wązkie, zimne i ciemne ściany, pomiędzy które żaden dźwięk życia z zewnątrz nie pada, żaden promień słoneczny się nie przedziera; wystawmy sobie żywo owę nieprzerwaną ciszę w dzień i w nocy, połączoną z wiecznie jednostajną samotnością, i powiedzmy, czy kto takie więzienie długo wytrzymać jest w stanie? Śmierć musi w takim razie najpożądańszym dla biednego więźnia być wożnym.

N o w y s p o s ó b p i e c z ę t o w a n i a l i s t ó w. Dziennik londyński »*Times*« donosi, iż niejaki p. Brown wynalazł nowy sposób zamykania listów, który wszelkim dotąd używanym fortelom tajemnego otwierania ich oprzeć się może. Spodnia część téj pieczątki, czyli raczéj zamku, składa się z bardzo cienkiéj i lekkiéj, lecz mocnéj blaszki, mającéj na środku mały trzpieniek. Tę blaszkę o trzpieńku kładzie się pod cztéry schodzące się końce koperty listowéj, a na te końce i na blaszkę, mianowicie zaś na środkowy jéj trzpieniek wsadza się mały kapsel, który za lekkiém uderzeniem, razem z trzpieńkiem się spłaszcza, i tak szczelnie końce koperty zamyka, iż niepodobieństwem jest otworzyć list bez rozdarcia koperty.

P i é r w s z y w y s t ę p t e n o r z y s t y. Przed trzydziestą laty popisywała się w Bergamo bardzo mierna trupa opery, przy któréj jednakże przypadkowie wyborni chórzyści się znajdywali. Z grona tych chórzystów wyszło kilku sławnych śpiewaków, muzyków, kompozytorów, jak Donzelli, Bianchi, Mori, Dolci. Między innymi znajdował się tam także pewien bardzo ubogi, bardzo skromny, a powszechnie lubiony krawczyk, który dla wspiérania owdowiałéj matki, w chórze śpiewał. Jednego razu przyszedł on do znanego śpiewaka Nozari, aby mu wziąć miarę na suknię. Nozari zmierzył go wzrokiem, mówiąc: »Jak mi się zdaje, znam cię już gdzieś, mój kochany.« — »Być może; zapewnieś mię pan widział w teatrze, gdzie w chórze śpiewam,« — »I maszże dobry głos?« — Nie osobliwy; zaledwie *G* dosięgnąć mogę.« — »Sprobujże, i prześpiewaj mi skalę.« — Chórzysta usłuchał, lecz doszedłszy do *G*, stanął bez tchu. — »Bierz *A*.« — »Nie mogę.« - »Bierz *A*, mówię ci, albo ...« — »*A - A - A - A*« — »Teraz *H*.« — »Alež panie....« — »Bierz *H*, bo niech mię...« — »*A - H - A - H - C*« — »A co, nie mówiłem ci!« — zawołał Nozari z tryjumfem. »Teraz, mój kochany, pamiętaj sobie dobrze, co ci powiadam: jeźli zechcesz być pilnym, zostaniesz piérwszym tenorzystą włoskim.« — Nozari miał słuszność: ubogi chorzysta, który stare suknie łatał, jest dziś milijonowym panem, i nazywa się — Rubini.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.